

Artur K.Dormann - GRABIĄC LIŚCIE opus I

„Wodny ptak śpi,

Kołysząc się na rzece,

Pomiędzy życiem i śmiercią”

Robun

Odchylił się na wielkim, skórzanym fotelu i sponad stron wytartej przez czas książki, skierował wzrok na okno. Potężne drzewo grabu z wolna zamieniało się w cień.

Nadchodził wieczór

który z kolei, taki sam, utopiony w marcowej mgle?

Odłożył na bok nudny romans, opowiadający o parze kochanków, których namiętność dorównywała jałowości filozoficznych pogadanek. Autor- poprzez przeplatanie niesmacznych scen miłosnych z tanimi frazesami- tak bardzo starał się objawić jakąś uniwersalną prawdę, że czytelnik, w sumie bez konkretnego powodu, musiał czuć się przytłoczony, złapany w pułapkę pustosłowia i pustosexu.

Na dworze zerwał się wiatr i zakołysał koroną drzewa. Wyobraźnia od razu podsunęła mu obraz zmurzałych palców zrywających pociemniałe, ciężkie od kurzu firanki, które chciały opleść mu gardło...

za grzechy, których się nie dopuścił, czyny, których nie dokonał, słowa, których nie wypowiedział.

Zrobiło mu się duszno. Wstał i obszedł swoje niewielkie mieszkanie w poszukiwaniu butelki wina. Znalazł ją w łazience, nawet nie próbował dociec dlaczego i skąd się tam wzięła. Odkręcił korek i z zagraconego zlewu wyłuskał w miarę czystą szklanę.

O to chodziło.

Położył się na łóżku nie zwracając uwagi na ciemne wykwity brudu i wilgoci. Od lat powtarzał sobie, że „w ciemnych i zimnych mieszkaniach to normalne” aż w końcu sam w to uwierzył. Zaakceptował, ponieważ w innym przypadku musiałby odpowiednio zareagować.

Przez cienką warstwę śniegu przebił się srebrzysty blask księżyca, w darze ofiarowujący załamujący barwy i rozmywający krawędzie pokost. Miękki, choć na swój sposób surowy wlewał się przez okno w suficie. Właśnie dlatego pokochał to mieszkanie niemal od pierwszego wrażenia. Patrzył przez okno w zimowe noce, gdy szybę oszraniał oddech mrozu, dostrzegał odradzający się błękit nieba wiosną, jesienią

śledził pokrętne ścieżki uciekających kropel. Cały jego wszechświat skupił się -na i za- szybą.

Zapalił jednego papierosa, potem następnego, żywiąc nadzieję, że może... że kiedyś, podczas następnego machnięcia, zadusi się dymem.

Cały dzień leżałem na łóżku,

Całą noc paliłem bez przerwy,

Ucząc się mrugać

Na blask zapalki.

U Lowella było to nieco bardziej wzniosłe, metaforyczne, jakby dar nadzwyczajnej percepcji pozwolił mu odkryć poetykę kolejnego peta, prawdę ukrytą na dnie popielniczki, schowaną w wąskich strózkach płowego dymu.

„Zegar tyka i tyka, wciąż zbyt wolno, wciąż tak samo”

Kotara rzeczywistości uniosła się tylko raz, żeby głosem lekarza z rosyjskim akcentem i czerwonymi rękami zakomunikować mu, jak bardzo się pomylił, próbując zaplanować swoją przyszłość. Chrapliwe, beznamienne samogłoski i spółgłoski układające się w niepojęte zdania brutalnie zeskrobywały kolejne warstwy jego złudzeń i urojeń.

Onkologia to dziwka. Zdzira ponad zdzirami.

Z łaski losu dali mu sześć miesięcy życia - nieżycia. Pół roku upłynęło, a on trwał nadal, zbyt samotny, by uznać swoją wegetację za cud. Zbyt zmęczony istnieniem pomiędzy, żeby triumfować.

Pamiętał tamten dzień w tonacji monochromatycznej. Wszedł do domu po trzydniowej włóczędze wśród mrocznych odmetów miasta, z diagnozą wypisaną na twarzy i w bladym, zmęczonym spojrzeniu. Wrócił do niej. Wrócił dla niej.

Wylewała potoki łez, zapewniając o swoich dozgonnych uczuciach

tak śmiesznie brzmią przysięgi o nieskończoności, zapewnienia i obietnice w obliczu nieustępliwych faktów...

kocha go przecież, razem pokonają przeciwności (cóż za wyszukany eufemizm), razem przejdą przez...

Będą walczyć.

Tydzień później już jej nie było. Odeszła w nocy. Jakoś, od kogoś dowiedział się, że już wcześniej znalazła sobie innego i tylko wypatrywała okazji. A okazja, jak to okazja, zawsze czeka przyczajona za rogiem.

Nie był zdziwiony, co to - to nie.

W poniedziałek rano rozumiał jej decyzję (tylko marnowałaby czas, opiekując się nim). W południe po-

gardzał za tchórzostwo (nie dała rady, bała się). Koło wieczora potępiał za zdradę, o zmroku zaczynał tęsknić. Budził się we wtorek rano i

rozumiał jej decyzję

Wraz z jej odejściem ucichły w mieszkaniu szmery i odgłosy. Umarły szepty, krzykom odebrano głos.

Zamknął się w domu i przestał wychodzić. Czekał już tylko na tę jedną wizytę, stricte towarzyską, w pewnym stopniu zapowiedzianą ustami zmiękczającymi każdą samogłoskę. Chodził, przemieszczał się, poruszał po metrach kwadratowych zatopionych w ostrym zapachu papierosów, a gość nie nadchodził. Ogarniające go powoli szaleństwo, było najlepszym dowodem na to, że jeszcze...

Że wciąż żyje.

Postanowił napisać książkę. Chciał odnaleźć stan umysłu sprzed.

Pierwsze słowa na czystej kartce papieru brzmiały :

Na ulicy dwaj policjanci sprawdzają umarłego dla świata pijaczynę, obojętni na wezwanie, że kwietniowy deszcz w pelerynie z mgły właśnie zakrada się do mojego pokoju.

Biała strona nadal w gotowości czekała na swój tatuaż w drukarce. Ale nic więcej nie udało mu się stworzyć. Milczenie skutecznie chroni przed zalem po wypowiedzianych słowach.

Pewnego dnia zadzwonił do jakiejś tam swojej rodziny, siostry albo brata- kto by pamiętał? Tylko raz. Potem napisał na lustrze

oni odeszli. Nawet ich bożonarodzeniowe krzyki, są zbyt ulotne, aby przedrzeć się poprzez aurę hałaśliwych myśli.

Gdzieś po drodze nadeszła prawdziwa wiosna z drobnymi pączkami na drzewach i krzewach, z kwitnącymi tęczowymi kwiatami. Wiedział o tym, pamiętał, że tak bywa, jednak ze swojego okna widział tylko martwy grab, który nie wypuszczał już nowych pędów.

W oknie na suficie dostrzegał falujące w gorącym powietrzu chmury wielorakich form, nie wzbudzały w nim jednak strachu ani zachwyty.

Tamta wiosna płynęła niczym wartka rzeka zaczęta w maju rozkrzyczanym targiem kwiatowym na placu pod blokiem. Ulotny zapach umierających bukietów wdzierał się niepostrzeżenie do jego mieszkania. Czerwiec przyniósł wazon azalii od zatroskanej sąsiadki, jedynej, która jako tako interesowała się jego losem. Lipiec i sierpień były czasem epickiej walki z widmami.

nie ma Boga, są tylko moskity

Komary stały się istną plagą. Wieczorem, gdy rozpałał lampkę w pokoju, całe stado natrętnych, żądnych krwi owadów, przysiadły na jego rękach i nogach, gryząc go i zamęczając bzyczeniem. Gdy szedł spać z nałożoną na głowę pościelą, słyszał - zbierających się do ataku, pewnych siebie – krwio pijców. Lecz po przebudzeniu nie widział żadnego, a na rękach i nogach nie miał śladów ugryzień.

- Halucynacje – postawił diagnozę – jeden z objawów nadchodzącej schizofrenii.

-Cóż – pomyślał - zdarza się!- Ktoś słyszy głosy, inny słyszy bzyk. Sprawiedliwie i wedle życzenia.

Kran nadal przeciekał, ale nie miał ochoty go naprawiać. Szum kapiącej wody przypominał mu, że coś oprócz niego porusza się w mieszkaniu. W południe dla zdrowia otwierał okno w suficie szczotką na kiju, a później leżał w łóżku wystawiając się na chłostę powietrza, słońca albo kropli deszczu.

Jesień zastała go w tym samym łóżku przykutego doń łańcuchem permanentnego zmęczenia.

Kiedyś, dawno temu lubił przesiadywać nad rzeką i rozmyślać nad pozornie nieruchomą taflą wody. Uważał się wtedy za artystę, który widzi więcej, rozumie więcej. Połączonego pępowiną demiurga z niewidzialnym nurtem płynącym pod spokojną na pozór ciemną tonią.

W myślach tworzył wtedy pełne zdania w typie

labędziobiałe motorówki pewnie biją dziobem w siarczy-
ście mroźne fale[\[1\]](#).

Później mu się odechciało, znudził się monologiem wewnętrznym o łodziach, rzekach i bogu. Popadł w apatię i stracił kobietę - jedyną, która miała być na zawsze. Ona wierzyła w niego dużo dłużej niż on sam. Ale zespolone siły Smutnej i raka zepchnęły go z obranej ścieżki. Ich wysiłki, by zmusić go do czucia, zaangażowania były imponujące, lecz kompletnie bezproduktywne.

„Spoglądam przez okno, jak gdybym zasiedział się w pociągu i zajechał o kilka stacji za daleko. Wysiadam na dworcu we wsi o nic mi nie mówiącej nazwie i zanurzam się w las pomiędzy górami. Tu oddycham prawdziwym powietrzem, tu patrzę na prawdziwą naturę. Moczę twarz w strumieniu i – chociaż tylko wyglądam przez małe okno na trzecim piętrze - czuję jego chłód, aromat, a lodowaty uścisk kurczy zmęczone mięśnie mojej twarzy. Na podwórku pod grabem widzę grupkę dzieci, które zamieniają się w pękate wróble i starą kobietę ...lub chodzącą gałąź. Wtedy kraina, gdzie zawiózł mnie pociąg, znika”.

Muszę wyjść, muszę wyjść, muszę wyjść!

Schodząc po schodach, odczuł dziwny dreszcz niepokoju i zażenowania. Nim otworzył drzwi na podwórze, odnalazł w sobie strofę, której tak długo szukał. Pierwszy akapit jego przyszłej książki:

Odeszłaś, a ja uczę się żyć na północ od wszystkich znanych mi miejsc. Czasem chodzę po szklistej powierzchni księżyca. Czasem, ciągnięty niczym byk na łańcuch, brnę. Któż inny dalby radę istnieć, gdy śmierć po ten łańcuch tak swobodnie sięga ?

Światło ponownie rozkwitłej jesieni omiotło jego twarz. Pozwolił na to bez protestów. Wbrew wcześniejszym obawom nikt nie zwracał na niego uwagi, dzieci opatulone dźwiękoszczelną przestrzenią zdawały się tkwić poza. Podobnie jak mężczyzna w niemodnym kapeluszu i młodzieniec na rowerze.

Kłódka od szopy znajdującej się po drugiej stronie podwórza ustąpiła z cichym jęknięciem. Wyjął stamtąd stare, zardzewiałe grabie. Skaleczył się nadłamaną rączką, ale krew, której się spodziewał, nie popłynęła. Widocznie nie zamierzała go opuścić do samego końca.

Przez krótką chwilę, w rozświetlonym oknie na trzecim piętrze, zobaczył samego siebie, wpatzonego w połyskujące dachy sąsiednich kamienic, tracącego zmysły w brudnym i brzydkim mieście.

- Będę - pomyślał i odwrócił się w stronę starego drzewa.

*Są gorsze rzeczy niż śmierć - tylko kto to
powiedział?*

I dlaczego?

„Ubieram płaszcz i ciepłe, wysokie buty. Wychodzę, bo mój grab zrzucił martwe liście. Ktoś musi się nimi zająć ...”

Słońce rozświetliło niebo czerwonym płomieniem i skierowało promienie reflektora na mężczyznę z grabiami.

- Tirez le videau, le farce set jouee - powiedział na głos i spuściwszy głowę, powrócił do pracy.

„Opadłe liście –

Grabiąc,

Choć i nie grabiąc”

[1] R. Lowell

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

artur.k.dormann, dodano 05.04.2018 21:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.